

Ożywcze prądy

Przed wielu laty „Krokodyl” — satyryczne pismo radzieckie — zamieścił rysunek o takiej treści: w hali fabrycznej, na wielkim dźwigu suwnicy zawieszony był ogromny kubek porcelanowy (rozmiarów cysterny), a stojący obok mistrz melodował dyktorowi, że plan półroczny został wykonany. Dowcip pasował jak ulał i do naszych polskich stosunków, gdy to wagą lub metrem oceniano efekty ekonomiczne ludzkiej pracy, nie licząc się z innymi istotnymi elementami analizy gospodarczej. Oczywiście, jak w każdej satyrze przesadzono, ale nie w tym rzecz. Istotny tu był tylko morał o niedoskonałości planowania produkcji.

Nikt dziś nie zaprzecza, że powód do krytyki był i to nie tylko w dziedzinie planowania. Wynika to zresztą z uchwał XX i XXII Zjazdu KPZR i późniejszej ich realizacji. Oto wkrótce po XX Zjeździe — w roku 1957 dokonano w ZSRR pierwszego zasadniczego przełomu w zarządzaniu przemysłem i budownictwem: powołano do życia Rady Gospodarki Narodowej („sownarchozy”). W parę lat później wprowadzono dalsze udoskonalenia, tworząc okręgi ekonomiczne i rady dla koordynacji i planowania w tych okręgach.

Rok temu — w październiku — XXII Zjazd KPZR uchwalił nowy program partii, program budowania w Związku Radzieckim w ciągu 20 lat — komunizmu. Zostały także określone ekonomiczne, społeczne i polityczne warunki realizacji tego programu. A więc dla zabezpieczenia bazy materialno-technicznej Związek Radziecki zwiększy rozmiary produkcji co najmniej 6-krotnie, a tym samym pozostawi daleko w tyle przemysł USA. Już po 10 latach wyprzedzi Stany Zjednoczone w dziedzinie rolnictwa, a po 20 latach „każda rodzina wraz z rodzinami nowożeńców, będzie miała wygodne mieszkanie...”

Komunistyczne stosunki społeczne zapewni „likwidacja istniejących jeszcze resztek różnic między klasami, zespolenie się ich w bezklasowe społeczeństwo ludzi pracy”.

Do spełnienia tych postanowień potrzeba w warunkach budujących się komunizmu — czynnika trzeciego: politycznego. Musi być bowiem zrealizowany ustroj, w którym „wszyscy obywatele będą brali udział w kierowaniu sprawami społeczeństwa”. Nastąpi dalszy rozwój demokracji socjalistycznej, co w konsekwencji pozwoli na wprowadzenie w życie zasad komunistycznego samostanowienia. Procesowi temu sprzyja i sprzyjać będzie stosowanie i dalszy rozwój leninowskich norm życia partyjnego i państwowego, przywróconych przez XX i XXII Zjazd KPZR.

Obserwujemy coraz ciekawsze wydarzenia, świadczące o niezwyklej konsekwencji w realizowaniu wspomnianego programu. Wymieńmy tylko najważniejsze: wiosną tego roku uchwałą KC KPZR dokonano poważnych zmian w organizacji rolnictwa. W czerwcu ukazało się zarządzenie uzupełniające poprzednie, a które zmierza do zwiększenia bodźców materialnych dla rolników. Oba miały na celu podniesienie efektywności pracy na wsi.

Przed dwoma zaledwie miesiącami rozgorzała znowu na łamach „Prawdy” i innych gazet oraz w środowiskach ekonomistów dyskusja nad usprawnieniem planowania i zarządzania gospodarką narodową.

To już bezpośredni efekt XXII Zjazdu. Program KPZR bowiem wyraża domagając się od gospodarki wyższej sprawności działania, wyższej jakości produkcji, postępu technicznego, naukowych metod planowania itd. Czy dotychczasowa struktura organizacyjna gospodarki i metodologia planowania zapewniają spełnienie tych założeń? Mimo wprowadzonych w ostatnich latach udoskonalień — najwidoczniej nie, skoro wiele uwagi pod jej adresem ma charakter jak najbardziej krytyczny. Nie brak jednak i takich polemistów, którzy są diametralnie innego zdania, bądź to zgadzają się tylko na minimalne zmiany w do-

tychczasowym stanie rzeczy. Słowem, dyskusja jak się patrzy, pełna głosów żarliwych, poglądów radykalnych, propozycji odważnych i odkrywczych.

Spośród dyskutantów wyróżnia się pogląd prof. Libermana z Charkowskiego Instytutu Inżynierii i Ekonomicznego, którego zdaniem trzeba zmienić system planowania i stworzyć sytuację, w której przedsiębiorstwa byłyby zainteresowane w osiąganiu najwyższych wskaźników i największej efektywności produkcji. Proponuje on aby podstawą oceny przedsiębiorstwa była rentowność, która będzie decydować o wielkości funduszu bodźców materialnych w dyspozycji przedsiębiorstwa. A więc przedsiębiorstwa powinny dostać tylko jeden wskaźnik planowy: wielkość produkcji, jej asortyment i termin dostawy. Pozostałe plany fabryka powinna opracować sama, kierując się myślą osiągnięcia jak najwyższej rentowności.

Nowe koncepcje ekonomiczne w ZSRR

Nie sposób omówić szerzej wszystkich poglądów prof. Libermana. Przytoczone tu podstawowe twierdzenia wystarczą jednak dla oceny dyskusji, propozycje bowiem są doniosłe. Prof. Liberman nie jest oczywiście jedynym zwolennikiem reform systemu zarządzania i planowania. Ma wielu zwolenników, podobnie jak i przeciwników. Są np. głosy, że kryterium rentowności jest niesłuszne i jako podstawę oceny można jedynie zastosować obniżkę kosztów własnych lub wzrost wydajności pracy czy inne jeszcze wskaźniki.

Tezy Libermana popierają zwolennicy teorii prof. Niemczykowa, członka Akademii Nauk, który twierdzi, że nie we wszystkich okresach budownictwa gospodarczego w ZSRR zasada zainteresowania materialnego odgrywała jednakowo dużą rolę. Obecnie jednak — jego zdaniem — „bez poparcia planu przez nowy, udoskonalony system bodźców materialnych istniejące rezerwy i rezerwy nie będą mogły być w należytej mierze zmobilizowane i efektywnie wykorzystane”.

Zasłę zmiany i twórcze poszukiwania coraz lepszych form pracy zrodziła atmosfera wytworzona przez XX i XXII Zjazd KPZR. Realizacji zadań, jakie stawia przed narodami radzieckimi, program budowy komunizmu nie można sobie bowiem wyobrazić bez udziału myśli twórczej, szczerych dyskusji, sumiennych badań naukowych, bez rugowania stagnacji form i zasad, biurokratyzmu i dogmatyzmu.

O roli konkursów muzycznych

Wrozpoczynając się dzisiaj IV Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego dużą rolę odegra orkiestra Państwowej Filharmonii. Ona przecież towarzyszyć będzie uczestnikom Konkursu w audycjach III etapu, ona też usławi konkurs kilkoma specjalnymi koncertami. Sład nasza rozmowa z dyrektorem PF i jej kierownikiem artystycznym Robertem Satanowskim.

— Panie Dyrektorze, jaki jest pański pogląd na rolę konkursów w rozwoju współczesnej kultury muzycznej?

— Mój pogląd na tę sprawę wyrażałem już nieraz, a ponieważ się nie zmienił, wypadnie mi go powtórzyć. Każdy konkurs zawiera w sobie kilka aspektów. Jednym jest wykonawca, drugim — często, lecz nie zawsze — wykonywany program, trzecim — publiczność, szerokie rzesze ludzi kochających muzykę.

Jeśli chodzi o wykonawców, o uczestników, konkursy kryją w so-

Sprawy
poznajskiej
nauki

Potrzeba współpracy

Dyskusja zainicjowana artykułem red. M. Skąpskiego, wykład inauguracyjny rektora UAM prof. G. Labudy (drukowany częściowo w „Gazecie Poznańskiej”), szereg niepublikowanych wypowiedzi na różnych zebraniach oraz dotychczasowa współpraca poszczególnych uczelni i instytucji, potwierdzają słuszność poglądu, że większe zespolenie wysiłków placówek naukowych i dydaktycznych jest niezbędne. Racjonalnie pojęta koordynacja zamierzeń w dziedzinie naukowej może zainteresowanym przynieść tylko korzyści.

Opracowuje się obecnie założenia planu perspektywnego Wielkopolski. Czynniki to też poszczególne uczelnie. Nie ulega chyba wątpliwości, że istnieje konieczność takiego zharmonizowania tych zamierzeń, aby charakterowi naszego regionu odpowiadał profil kształcenia naszych wyższych uczelni, jak również, by tematy naukowe były w miarę możliwości jak najbardziej dostosowane do potrzeb regionu.

Oto przykład dotyczący rozwoju przemysłu drzewnego w Wielkopolsce i w województwach przyległych. Założenia planu perspektywnego przewidują znaczny wzrost zatrudnienia i produkcji. Absolwentów tych specjalizacji dostarczą Wydział Technologii Drewna WSR, częściowo Politechnika Poznańska oraz WSE i UAM. Na rzecz tego przemysłu pracuje również Instytut Technologii Drewna w Poznaniu. W związku z planowanym wzrostem zatrudnienia kadr z wyższym wykształceniem, powinny się zwiększyć usługi uczelni w zakresie kształcenia inżynierów. Powstaje też konieczność wyodrębnienia na Politechnice Poznańskiej, w pierwszym już etapie, specjalizacji w zakresie budownictwa drzewnego i mechanicznej, sprofilowanej do tego kierunku. Ponadto należałoby ekonomistów i prawników gospodarczych nakłonić do pisanie prac magisterskich o tej dziedzinie przemysłu. Otrzymalibyśmy wówczas pewną liczbę absolwentów przygotowanych do pracy w tym dziale gospodarki narodowej.

Udział władz terenowych i gospodarczych w zakresie przyznawania stypendiów fundowanych, jak również opieki nad tymi studentami, mógłby być bardziej efektywny i rzeczowy. Z drugiej zaś strony podejmowanie tematów naukowych, potrzebnych tej właśnie dziedzinie gospodarczej dałoby zapewne obustronne korzyści zarówno uczelniom, instytutom i przedsiębiorstwom, jak również odbiłoby się korzystnie na samym procesie nauczania.

związczą gdy mają już pozycję artystyczną, z obawy przed ryzykiem. A teraz o plusach konkursów. Stanowią one bodziec do długofalowej, skoncentrowanej pracy. Dla młodych artystów, którzy nie mieli jeszcze możliwości wypłynięcia na szerokie wody konkurs jest często szansą życiową.

Jeśli chodzi o programy, to poszczególne konkursy wysuwają na pierwszy plan muzykę jakiegoś kompozytora, epoki czy narodu i przez to spełniają bardzo ważną rolę propagandową. Konkursy dają

Wywiad z Robertem Satanowskim

Wielki problem, to kompetencje i podstawa prawna, na której działałaby środowiskowa komisja. Nie sadzę, by dla każdego nowego kolegium trzeba od razu tworzyć ustawy czy rozporządzenia. Osoby, wchodzące w skład takiego kolegium — mają z tytułu swych funkcji wyznaczające uprawnienia do podejmowania decyzji o mocy prawnej, które uzgadniane są w drodze wzajemnego porozumienia. Niektóre jednak propozycje będą musiały znaleźć aprobatę prawną, jeśli uprzednio zostaną w środowisku uzgodnione i wystarczająco uzasadnio-

GŁOS
Poznań
4. XI. 1962
Nr 56 Rok II
TYGODNIA
DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Romuald Jezierski

kierownik Wydziału Nauki i Oświaty
KW PZPR w Poznaniu

Chodzi nie tylko o współpracę uczelni z instytucjami, ale także o ich współdziałanie z przemysłem. Można wówczas kompleksowo ująć reguły tej współpracy i obustronne świadczenia. Ponadto można by tak skoordynować, podejmowane badania naukowe (w tym zakresie istnieje zresztą względnie szeroka swoboda), by obejmowały one kompleks zagadnień techniczno-organizacyjno-ekonomicznych. A właśnie daje odczuć się brak takich badań, szeroko obejmujących zagadnienia z różnych dyscyplin naukowych, ale dotyczących jednego problemu praktycznego.

Szansa środowiska

Nie precyzując dalszych wniosków nasuwających się z tego przykładu, warto jednak zatrzymać się nad sprawami ogólniejszymi.

Pierwszą sprawą są plany naukowe. Czy można je koordynować na szczeblu środowiska, skoro do tego powołane są instytucje centralne? Nikt nie zamierza wchodzić w ich kompetencje, ale gdyby propozycje naszego środowiska były jednolite, uzasadnione i zgodne z potrzebami, łatwiej o ich aprobatę w organach zwierzchnich. W takim właśnie działaniu tkwi wielka szansa naszego środowiska naukowego, które dzięki zjednaniu swych wysiłków, mogłoby uzyskać większe chyba niż dotychczas świadczenia. Ponadto, opracowując perspektywiczny plan rozwoju uczelni, planując nowe wydziały i specjalizacje na naszych uczelniach, tak można pokierować współpracą uczelni, zwłaszcza w dziedzinie kształcenia kadr naukowych, by wzajemnie sobie świadczyły usługi.

Już dziś bowiem, widząc przyszłość, nowe kierunki, katedry i zakłady, specjalizować trzeba nowych, młodych asystentów, aby te placówki obsadzić.

Inny problem, to kompetencje i podstawa prawna, na której działałaby środowiskowa komisja. Nie sadzę, by dla każdego nowego kolegium trzeba od razu tworzyć ustawy czy rozporządzenia. Osoby, wchodzące w skład takiego kolegium — mają z tytułu swych funkcji wyznaczające uprawnienia do podejmowania decyzji o mocy prawnej, które uzgadniane są w drodze wzajemnego porozumienia. Niektóre jednak propozycje będą musiały znaleźć aprobatę prawną, jeśli uprzednio zostaną w środowisku uzgodnione i wystarczająco uzasadnio-

niesieniu do Konkursu Wieniawskiego?

— Sądzę, że jak najbardziej. Wystarczy spojrzeć wstecz na minione konkursy Wieniawskiego, aby stwierdzić, że stanowiły one bardzo trwałe i sprawiedliwe kryterium oceny wartości skrzypków biorących w nich udział. Świadczy o tym nazwiska laureatów reprezentujących z całą pewnością czołówkę światowej wiolinistyki. W nawiązaniu do walorów pedagogicznych pragnę podkreślić, że Towarzystwo imienia Wieniawskiego przechowuje w archiwach nagrania wszystkich etapów obecnego konkursu. Występy będą także filmowane i filmy te również staną się trwałym dokumentem Konkursu. Program Konkursu sprzyja z pewnością pogłębieniu znajomości dzieł Wieniawskiego i Szymanowskiego. Liczymy, że zainteresowanie publiczności, tak duże na poprzednich konkursach, będzie tym razem jeszcze większe, i to na wszystkich etapach, nie tylko na ostatnim.

— Proszę teraz powiedzieć, co daje, Pańskim zdaniem, konkursom i Poznaniowi fakt organizowania tych konkursów w naszym mieście?

— Trudno mi powiedzieć, jakie to ma znaczenie dla Konkursów,

nie (np.: tworzenie instytutów międzyuczelnianych, pracowni międzyuczelnianych itd.).

Trudności

Główną z nich upatrywałbym w postawie wielu pracowników nauki, przywykłych do samowładnego ustalenia zamierzeń swych katedr. Nielatwo będzie tak skoordynować zamierzenia naukowe i dydaktyczne, by wszystkich pogodzić. Trudno będzie przekonać niektórych, ażeby udostępnić aparaturę dla pracowników innych katedr czy uczelni. Wymagać będzie wysiłku także sprofilowanie prac naukowych, by one się wzajemnie zasyływały. Będą zresztą występować tutaj trudności obiektywne: brak precedensów w tym zakresie, jak również — w wielu dotychczasowych przypadkach — nieuwzględnianie przy wyborze tematów naukowych spraw ekonomicznych czy też kwestii, wpływających z innych dyscyplin.

Wielkiego wysiłku wymagać też będzie opracowanie szerokiego programu współdziałania, biorącego pod uwagę wszystkie uzasadnione przesłanki. Oczywiście, dla wielu problemów musiałby powstać zespół roboczy; niemożliwe byłoby opracowanie zagadnień szczególnych przez ściśle kolegium rektorów, przedstawicieli KW, rad narodowych, instytutów. Kolegium stanie się przede wszystkim czynnikiem inicjującym i zatwierdzającym.

Wydaje się, że współpraca dokonywałaby się na następujących płaszczyznach:

▲ przygotowania perspektywnego rozwoju poszczególnych uczelni z ustaleniem wydziałów, kierunków i specjalizacji;

▲ współpracy i pomocy w zakresie kształcenia kadr naukowych;

▲ wspólnego ustalenia kompleksowych tematów prac naukowo-badawczych;

▲ pomocy wzajemnej w zakresie posiadanej bazy materialnej;

▲ pomocy w poczynaniach dydaktycznych i wychowawczych.

Te i inne problemy będą przedmiotem organizacyjnego posiedzenia kolegium, które zbierze się około 15 bm.

Dotychczasowa dyskusja na łamach „Głosu Wielkopolskiego” wprowadziła szereg nowych i cennych elementów, które należałoby wziąć pod uwagę, przy powoływaniu tej komisji. Miejmy nadzieję, że „Głos” udostępni swe spaliny również dla wymiany poglądów i informowania już o bardziej bieżących i merytorycznych problemach naszego środowiska naukowego.

Wywiad z Robertem Satanowskim

Wielki problem, to kompetencje i podstawa prawna, na której działałaby środowiskowa komisja. Nie sadzę, by dla każdego nowego kolegium trzeba od razu tworzyć ustawy czy rozporządzenia. Osoby, wchodzące w skład takiego kolegium — mają z tytułu swych funkcji wyznaczające uprawnienia do podejmowania decyzji o mocy prawnej, które uzgadniane są w drodze wzajemnego porozumienia. Niektóre jednak propozycje będą musiały znaleźć aprobatę prawną, jeśli uprzednio zostaną w środowisku uzgodnione i wystarczająco uzasadnio-

Wielki problem, to kompetencje i podstawa prawna, na której działałaby środowiskowa komisja. Nie sadzę, by dla każdego nowego kolegium trzeba od razu tworzyć ustawy czy rozporządzenia. Osoby, wchodzące w skład takiego kolegium — mają z tytułu swych funkcji wyznaczające uprawnienia do podejmowania decyzji o mocy prawnej, które uzgadniane są w drodze wzajemnego porozumienia. Niektóre jednak propozycje będą musiały znaleźć aprobatę prawną, jeśli uprzednio zostaną w środowisku uzgodnione i wystarczająco uzasadnio-

Wielki problem, to kompetencje i podstawa prawna, na której działałaby środowiskowa komisja. Nie sadzę, by dla każdego nowego kolegium trzeba od razu tworzyć ustawy czy rozporządzenia. Osoby, wchodzące w skład takiego kolegium — mają z tytułu swych funkcji wyznaczające uprawnienia do podejmowania decyzji o mocy prawnej, które uzgadniane są w drodze wzajemnego porozumienia. Niektóre jednak propozycje będą musiały znaleźć aprobatę prawną, jeśli uprzednio zostaną w środowisku uzgodnione i wystarczająco uzasadnio-

Wielki problem, to kompetencje i podstawa prawna, na której działałaby środowiskowa komisja. Nie sadzę, by dla każdego nowego kolegium trzeba od razu tworzyć ustawy czy rozporządzenia. Osoby, wchodzące w skład takiego kolegium — mają z tytułu swych funkcji wyznaczające uprawnienia do podejmowania decyzji o mocy prawnej, które uzgadniane są w drodze wzajemnego porozumienia. Niektóre jednak propozycje będą musiały znaleźć aprobatę prawną, jeśli uprzednio zostaną w środowisku uzgodnione i wystarczająco uzasadnio-

Dokończenie na str. 2

Józef Lubojański

Kto reprezentuje opinię publiczną NRF?

Polskie lato 1962 w NRF (IV)

W poprzednich artykułach omawialiśmy głosy poważnej prasy zachodniemieckiej o Polsce, zwłaszcza o sytuacji na polskich ziemiach zachodnich i północnych. Stwierdziliśmy fakt niewątpliwy: po ważną prasę NRF coraz częściej obiektywnie ocenia sytuację na naszych ziemiach odzyskanych. Coraz więcej Niemców dostrzega rzeczywistość wyrażającą się w faktach, a nie w mrzonkach i coraz częściej dochodzą oni do wniosku: polonizacja (używając określenia prasy zachodniemieckiej) obszarów położonych na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej jest procesem nieodwracalnym.

Co więcej, nawet część rewizjonistycznych działaczy przesiedleńczych oraz rozbudowanej prasy przesiedleńczej skłania się ku wnioskowi, że trudne, a nawet niemożliwe jest posługiwanie się dawnymi sloganami antypolskimi.

Dawne antypolskie hasła propagandowe znalazły się w zbyt już oczywistej sprzeczności z powszechnie znanymi faktami; zresztą nie od powiadają one także obowiązującej na zachodzie Europy ideologii europejskiej i integracyjnej.

Nawet najbardziej twardogłowi działacze rewizjonistyczni spostrzegali, że integracja europejska, zwłaszcza w jej zachodniemieckiej interpretacji nie oznacza w stosunku do krajów Europy środkowej nic innego jak nową formę podporządkowania tych krajów niemieckiemu imperializmowi, podobnie jak neokolonializm jest tylko nową formą kolonializmu.

Kierownictwo „Związku Wypędzonych” uznało za wskazane podjąć szeroką akcję uświadamiającą, której zadaniem ma być:

„przekonanie świata, że zarówno rządowi federalnemu, jak i wypędzonym chodzi o to, by doprowadzić do porozumienia z narodami i państwami wschodnioeuropejskimi, na podstawie obowiązującego prawa narodów, a nie o to, by spowodować zmianę przy pomocy wojny i przemocy.”

Zagorzał antypolscy rewizjoniści z okresu międzywojennego i po II wojnie światowej przedzierzgnieli się w gorliwych szermierzów „pojednania polsko-niemieckiego”. Postulat odebrania Polsce ziem zachodnich i północnych zastąpił hasłem „wyzwolenia Polski spod jarzma komunistycznego”. W zintegrowanej Europie, sprawa granic przestanie przecież odgrywać istotną rolę. „Wolni Niemcy” i „wyzwoleni Polacy” łatwo porozumieją się w sprawach granicznych. Takie są założenia tej taktyki. Jest ona obliczona zwłaszcza

czym na pewne koła emigracji polskiej.

Jednak rewizjoniści zachodniemieccy kierują się swoistą logiką. Co innego jest — ich zdaniem — głosić hasła pojednania niemiecko-polskiego, a co innego realistycznie oceniać sytuację w Polsce, a zwłaszcza na jej ziemiach zachodnich i północnych. Ich koncepcji tego „pojednania” nie odpowiada Polska dobrze prosperująca. W Polsce musi być źle, gdyż im będzie w niej gorzej, tym niecierpliwiej Polacy będą wyczekiwać „wyzwolenia” z rąk takich wypróbowanych przyrządów, jak Krüger, Ulitz, Hupka i inni. Im gorzej będzie na polskich ziemiach zachodnich i północnych, tym łatwiej przyjdzie „wyzwolenym Polakom” zrezygnować z tych ziem, jako że nie będą one miały dla nich „istotnego znaczenia”.

Dlatego też działacze rewizjonistyczni i ich prasa gromko piętnują tych publicystów zachodniemieckich, którzy mają odwagę rzetelnie pisać o tym, co widzieli w Polsce.

W odpowiedzi na opublikowane w „Sternie” reportaże „Deutsche Soldaten-Zeitung und National Zeitung” (nr 32 z 17 VIII 1962 r.) pisała:

„Największe niemieckie czasopismo ilustrowane, „Stern”, analizuje obecnie w cyklu reportaży stosunki na okupowanych przez Polskę niemieckich terenach wschodnich oraz kwestię, czy ten kraj został dla Niemców utracony na zawsze. Odpowiadamy „Sternowi”: Breslau i Koenigsberg, Danzig i Eger, Stettin i Oels (to śląskie miasteczko stanowi punkt wyjścia dla rozważań „Sterna”) — są niemieckie i pozostaną niemieckie.”

Przy okazji dowiadujemy się także:

„Jeśli chodzi o winę, za spowodowanie wojny, to obecnie, miarodajni i odpowiedzialni historycy zagranicą są zgodni, że Polska spowodowała tę wojnę, że główna wina za ten mord na narodach spoczywa na polskich barkach.”

W tym samym czasie, kiedy Egon Vacek, Richard Thillenius, Hans Gerlach i Marion Doenhoff, w swoich tegorocznych reportażach z pełnym uznaniem oceniali polskie osiągnięcia, kiedy warszawski korespondent zachodniemieckiego radia, Ludwig Zimmerer, nadawał rzetelne audycje o hitlerowskiej okupacji w Polsce — w tym samym czasie w różnych pismach rewizjonistycznych ukazywały się „reportaże” z Polski, utrzymane w dawnym stylu.

Jak jest naprawdę na polskich ziemiach zachodnich i północnych — wiemy sami dobrze i nie potrzebujemy się tego dowiadywać od dziennikarzy z NRF.

Interesuje nas natomiast inne pytanie: kto właściwie reprezentuje zachodniemiecką opinię publiczną w sprawach polsko-niemieckich? Ci, którzy piszą: „Hut ab vor dem polnischen Aufbau” („Zdejmcie kapelusze przed polską odbudową”), czy też ci, którzy piszą: „Das Land sinkt wieder in seinen Urzustand zurück” („Ten kraj powraca do swego stanu pierwotnego”). Oczywiście, jedni i drudzy reprezentują jakieś odłamy zachodniemieckiej opinii publicznej. Którą jednak część tej opinii możemy uznać w tej sprawie za miarodajną?

Ludzie, reprezentujący tzw. poważne koła zachodniemieckie, powiadają nam: „Nie zwracajcie uwagi na rewizjonistów i działaczy przesiedleńczych. To fanatycy albo głupcy, pozbawieni istotnego znaczenia”. Natomiast działacze rewizjonistyczni piszą o autorach tego rodzaju opinii, jako o „zgnitych intelektualistach” i „outsiderach” bez politycznych wpływów.

Wśród wielu komplementów, jakim w ostatnim czasie obdarzono Polskę w prasie NRF, jeden powiada, że Polacy są „pragmatykami”. Spójrzmy więc na sprawę „pragmatycznie”.

Rewizjoniści zbierają co roku kilka milionów ludzi na wielkie, rewizjonistyczne manifestacje. Występu-

jący na nich przedstawiciele rządu NRF i wszystkich wielkich partii zachodniemieckich uważają ich rewizjonistyczne uchwały za „święte zobowiązania” dla rządu i partii zachodniemieckich. Decydujące jest jednak to, że polityka rządu NRF jest właśnie taka, jaką postulują rewizjoniści, a nie ci, którzy starają się pisać i mówić rzetelnie o sprawach niemiecko-polskich.

Ci ostatni zresztą, jak się wydaje, nie oceniają sami zbyt wysoko swoich wpływów na opinię zachodniemiecką. Paul Schallueck w książce „Bestandaufnahme — eine Deutsche Bilanz 1962”, pisze:

„Ten, kto chce brać się za bary z najtrudniejszymi problemami, z szeregiem uprzedzeń i tabu, nie jest traktowany poważnie.”

„Roi się w zachodnich Niemczech od ludzi, nie traktowanych poważnie — od głupców. Należą do nich profesorowie i dostojnicy Kościoła, pisarze, kierownicy rozgłośni radiowych, dziennikarze (...), intelektualiści. Kto nazywa siebie intelektualistą, może jednocześnie nazwać siebie głupcem. To już prawie synonimy.”

Rozumiemy, oczywiście, że ironiczna przesada tych słów podyktowała gorzkość.

Ale jednak z odpowiedzią na pytanie: kto reprezentuje zachodniemiecką opinię publiczną w sprawach Polski — wolimy zaczekać do czasu, aż zmieni się polityka zachodniemiecka wobec naszego kraju. Miejmy nadzieję, iż w Republice Federalnej, polityka rządu nie pozostanie na zawsze sprzeczna ze stanowiskiem przeważającej części opinii publicznej.

O roli konkursów muzycznych

Dokończenie ze str. 1

pragniemy by było jak najbardziej pozytywne. Chcemy to osiągnąć poważnym i pełnym entuzjazmu podejściem do tej sprawy, stworzeniem właściwej atmosfery i należytych przygotowaniem organizacyjnym.

Natomiast dla Poznania konkursy, a konkursy wykonawcy w szczególności, stanowią element wielkiej doniosłości. Poznań jest miastem o wybitnych tradycjach kulturalnych i muzycznych. Konkursy imienia Wieniawskiego sprzyjają kontynuacji tych tradycji i stwarzają przesłanki natury organizacyjnej dla dalszego rozwoju muzyki w stolicy Wielkopolski.

— Jak ocenia Pan stan przygotowań do Konkursu?

— Przygotowania organizacyjne leżą w rękach Towarzystwa imienia Wieniawskiego oraz Komitetu Wykonawczego. Mogę jedynie stwierdzić ogromny wysiłek i zapał z jakim starano się wszystko przygotować. Natomiast gdy chodzi o Filharmonię mogę jeszcze raz podkreślić, że Konkurs był dla nas poważnym bodźcem do podniesienia poziomu. W skład orkiestry weszło dodatkowo kilkunastu bardzo wartościowych muzyków. Uzupełniliśmy w dość znacznym stopniu nasze instrumenty muzyczne, choć niestety nie wszystkie dotarły do nas na Konkurs. Przeprowadzono remont sali, mamy w niej nareszcie odpowiednie fotele. Przez przebudowę zaplecza poprawiliśmy w pewnym stopniu niezwykle trudne warunki pracy orkiestry. Udział orkiestry w Konkursie zmobilizował cały zespół do bardzo intensywnej pracy.

— Czym zajmujemy dzisiaj Konkurs?

— Uroczystym koncertem, na którym wykonamy operę „Król Roger” Karola Szymanowskiego. Cieszymy się, że to wspaniałe, a tak mało znane w świecie dzieło Szymanowskiego dotrze do wielu zagranicznych reprezentantów świata kulturalnego i muzycznego.

Rozmawiał:

Mieczysław Skąpski

75 rocznica urodzin Johna Reeda

22 października minęła 75 rocznica urodzin wybitnego, amerykańskiego pisarza i publicysty — uczestnika i kronikarza Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej — Johna Reeda.

Urodził się w zamożnej rodzinie i był wychowankiem ekskluzywnego uniwersytetu w Harvard. Po ukończeniu studiów młody Reed, pragnąc poświęcić się karierze literackiej, rozpoczął „studiowanie życia”. Poznał nędzną egzystencję mieszkańców nowojorskich slumsów — bezrobotnych i wydziedziczonych.

Pierwszym pismem, z którym nawiązał współpracę, było lewicowe „The Masses”. Z jego ramienia wyjeżdża w kwietniu 1913 r. do Paterson w stanie New Jersey, gdzie wybuchł strajk robotników zakładów jedwabniczych, zdławiony przez pracodawców i policję. Reed nie pozostał biernym obserwatorem wydarzeń. „Był to mój chrzest bojowy” — pisał o tej podróży. W kilka miesięcy później wyjechał do Meksyku, ogarniętego płomieniem wojny domowej. Owocem wyprawy były nowe doświadczenia, cykle reportaży oraz książka „Rewolucyjny Meksyk”, która przyniosła mu duży rozgłos.

Kolejnym etapem dziennikarskich wędrówek była Europa, w której trwała wojna. Jako korespondent wojenny przebywał w Niemczech, Włoszech, Turcji, na Bałkanach i w Rosji. Wysostrzony zmysł obserwacyjny i umiejętność trafnej oceny zjawisk pozwalała mu szybko ocenić prawdziwy charakter tej ogólnoswiatowej rzezi. W jednym z reportaży nazywa ją „Wojną gipsów”.

We wrześniu 1917 r. Reed zjawiał się w Petersburgu. Od razu dostrzegł w partii bolszewickiej się zdolną do zorganizowania i przeprowadzenia ataku na zmurszałe bastiony starego ustroju. Jest świadomy wielkości rozgrywających się wydarzeń.

Z głęboko przeżytych doświadczeń zrodziło się największe dzieło Reeda, słynny reportaż „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”. Była to pierwsza tak poważna, a zarazem obiektywna relacja o przebiegu i znaczeniu rewolucji, która dotarła na Zachód. Wysoko ocenili książkę Reeda Lenin, stwierdzając, że należy ją rozpowszechniać w milionach egzemplarzy w przekładach na wszystkie języki.

Kiedy wiosną 1918 r. Reed powrócił do USA, całe swe siły i energię poświęcił głoszeniu prawdy o rewolucji rosyjskiej. Pisał artykuły, przemawiał na wiecach, zeznawał przed komisją senacką. Nie ugięły go — bojkot oficjalnej prasy, represje i areszty. Udało mu się przekazać do publicznej wiadomości tekst słynnego listu Lenina do robotników amerykańskich, oskarżających imperializm USA o organizowanie interwencji przeciwko młodej Republice Radzieckiej. Po ponownym przyjeździe do Rosji brał udział w pracach II Kongresu Międzynarodówki Socjalistycznej, wchodził w skład delegacji na I Zjazd Narodów Wschodu w Baku, pracował na subotnikach, pisał i przemawiał. Jesienią 1920 r. zachorował i zmarł nie ukończywszy 33 lat. Pochowano go z honorami w Murze Kremlowskim obok bohaterów poległych o zwycięstwo Rewolucji.

Działalność publicystyczna i polityczna Reeda przysłoniła jego twórczość poetycką. On sam uważał się przede wszystkim za poe. Większość jego wierszy powstała w okresie młodości. Podczas pobytu w Rosji rozpoczął pisanie poematu „America 1918”, o charakterze autobiograficznym, pragnąc oddać w nim uczucia i wrażenia wywołane przez Rewolucję.

*

Książka Reeda „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem” ukazała się w języku polskim już w okresie międzywojennym. W Polsce Ludowej jej dwa nakłady osiągnęły 50 tys. egzemplarzy. Przed dwoma laty wydano też zbiór reportaży zatytułowany „Doświadczenia Johna Reeda”.

Bogusław Kogut

Rembrandt i kółko

Salvador Dali, malarz, który różnymi ekstrawagancjami chce koniecznie stworzyć własną legendę (co mu się zresztą udało), wystąpił z tezą, że Rembrandt był ślepy, miał kataraktę. Współzgrzybiał przyjaciele postanowiliśmy wystąpić do Salvadora Dali depeszę następującej treści: „Żeby być Rembrandtem musi pan dostać kataraktę. Stop.”

Żeby widzieć jak Rembrandt, trzeba być geniuszem. Żeby przewidywać skutki pewnych nieodwracalnych procesów, nie trzeba być geniuszem, wystarczy trochę wyobraźni. Te refleksje na temat widzenia i przewidywania nasunęły mi się z powodu motoryzacji i artykułu Tomasza Domańskiego w POLITYCE pt. „Niebezpieczne drogi”. Autor stwierdzając, że rozwój motoryzacji jest nieuchronny, domaga się naukowych badań nad ruchem drogowym. Postulat daleko idący ale jak najbardziej uzasadniony. Nie idąc tak daleko zagadnieniem: sprawnością (a raczej niesprawnością) pojazdów, jako jedną z przyczyn, dla których nasze drogi są coraz bardziej niebezpieczne.

Popsuł ci się, kierowco, sygnał, czyli klakson. Niby mała rzecz tym bardziej, że w mieście używanie klaksonu jest zakazane. Ale na drogach pozamiejskich, zawałonych rowerzystami, furmankami, krównami i spacerowiczami — bez klaksonu ani rusz. Idziesz do jednego elektryka, po-

wiada, że już nie robi drobniaków, przeszedł na spółdzielczość i na większe zlecenia; idziesz do drugiego, powiada, że może za dwa tygodnie; następny, że może w maju może w grudniu. Jeździsz więc bez klaksonu. Nawalił ci inny drobniak, więc pedzisz do „Motozbytu”, a tam, owszem, sklep otwarty, ale przyjmują jakieś akcesoria. Dla odebrania tych kilkudziesięciu drobniaków potrzebny jest cały, całutki personel, więc sprzedaż wstrzymajna. Ze przyjechałeś po swój drobniak z Kalisza, Piły czy innego Jarocina? To nie, przyjeżdżasz jutro. Jeśli jesteś „państwowy”, to wcale nie będziesz markotny, bo delegacja leci, dieta leci, ciebie nic nie kosztują te wagary. A jeśli jesteś prywatny, to niech tam! Możesz się złościć, tracić czas (czas to pieniądź). Nie jesteś ważny.

Otoż tu właśnie jest pies pogrzebany. Ciągłe jeszcze (w praktyce) holdujemy pogładowi, że posiadacz prywatnego pojazdu mechanicznego to jest kombinator, wyszukiwacz, cwaniak, którego trzeba przede wszystkim wydrenować z nadmiaru gotówki. A tymczasem już od dawna jest tak, że ludzie posiadający pojazdy posługują się nimi również w zwykłej pracy, często bardzo społeczeństwu potrzebnej, pracy, w której szybkość przemieszczania się z miejsca na miejsce ma kapitalne znaczenie. A jeśli nawet „Octavie” i „Wartburgi” służą w tak zwanym sezonie celom turystycznym i wypoczynkowym, to przecież i tutaj nie ma jakiejś sprzeczności z ogólnym interesem społecznym. Słowem — motoryzacja jest koniecznością cywilizacyjną a nie tylko luksusem dla snobów i cwaniaków. Więc musi się warunki dla jej rozwoju jakoś organizować. Kiedyś będzie u nas tak, że drobne usterki będzie można usuwać w czasie pozostających w ja-

kichs proporcji do rozmiarów defektu i pracochłonności naprawy?

Domagamy się, by służba drogowa MO była wyposażona w odpowiednie urządzenia wykrywające natychmiast niezbędne usterki, jak nadwyżężony układ sterowy, niesprawne hamulce, wady amortyzacji, oświetlenia, słabe zawieszenie kół itp. To jest niby słuszne ale nie tak bardzo. Bo co z tego, że MO wykryje usterki, o której kierowca często nie wie, ale nie może jej usunąć, bo nie ma elementu zamiennego, bo musi zbyt długo czekać, traci czas (czas to pieniądź), więc ryzykuje jazdę wozem nie w pełni sprawnym, ryzykuje bezpieczeństwo swoje i cudze, życie swoje i cudze; mandaty zapłaci i będzie ryzykował nadal, bo innego wyjścia nie ma.

Zastanawiając się nad różnymi niedomogami naszego życia natrafia się niekiedy na niedomogi, dla których nie można znaleźć żadnego obiektywnego usprawiedliwienia. Katastrofalny stan zaplecza usługowo-remontowego dla naszej motoryzacji — do takich zjawisk należy. Tylko inercja organizacyjna i brak zdolności przewidywania są tutaj przyczynami. Jest to szczególnie paradoksalne w kraju, w którym planowanie perspektywiczne (a więc przewidywanie) należy do podstawowych zasad działania.

Jeśli jutro lub pojutrze nasza motoryzacja utknie w miejscu dzięki wczorajszym i dzisiejszym zaniedbanom — powiemy sobie: Nasz geniusz był ślepy, miał kataraktę. Będzie to dowcip ponury.

nad i

Wanda Chila



Na początek kilka liczb niepokojących. Oto statystyki Politechniki Poznańskiej, a więc uczelni, od której harmonijnego rozwoju dydaktycznego i naukowego zależy w ogromnej mierze rozwój przemysłu, notują rokrocznie zwiększający się niedobór w zakresie „dostarczania” potrzebnych zakładom kadr specjalistów.

Dla przykładu: w roku akademickim 1960/61 przemyśli zgłosił zapotrzebowanie na 250 inżynierów; wypuszczono ich z uczelni, po dyplomie, 94. W roku następnym liczba zapotrzebowania wzrosła do 261; absolwentów było 83. Niedobór łatwo sobie obliczyć. Relacjonując słowa dziekanów poszczególnych wydziałów dodamy w tym miejscu tylko to, że deficytu tak długo nie uda się zmniejszyć, jak długo Politechnika Poznańska nie przestanie być najgorzej pod względem lokalowym wyposażoną uczelnią w kraju. I znowu, aby nie być gołosłownym, powołajmy na świadków liczby: najciężniejsza w kraju uczelnia dysponuje około 60 m² na studenta, średnio zamożna — około 100 m²; w Politechnice Poznańskiej na 1 studenta przypada powierzchnia, wynosząca niecałe 30 m².

Argumentów za potrzebą rozbudowy Politechniki wystarczy nawet dla... optymistów, którzy gotowi są twierdzić, że „jakoś to będzie”. Plany dydaktyczno-naukowe, stawiane przed naszą uczelnią, są tak poważne, że doprawdy nie dopuszczają nawet myśli o jakiegokolwiek improwizacji i prowizorkach, jeśli mają być w terminie i w całości zrealizowane.

Oto do roku 1980 wyższe uczelnie Polski wyszkolić mają 800 tysięcy pracowników z wyższym wykształceniem, z tego na zaocznych i wieczorowych studiach 40 proc., a więc siedmiokrotnie więcej niż dotychczas. Ilość samodzielnych pracowników nauki ma być we wspomnianym roku 4-krotnie większa niż obecnie. W tym samym czasie na Politechnice Poznańskiej, która ma teraz 26 samodzielnych pracowników nauki — liczba ich ma wzrosnąć do 105; pomocniczych pracowników nauki i wykładowców, których obecnie ma uczelnia 210 — w 1980 roku powinna posiadać 600. Żeby jednak nie wpaść w pesymizm warto przypomnieć, iż w chwili powstania Politechniki, tj. w 1955 roku, uczelnia miała 9 doktorów, obecnie ma ich 40; przewodu habilitacyjnego nikt nie miał otwartego — obecnie pracuje nad nim 65 osób.

Wszystkie te zamierzenia, dotyczące rozwoju samodzielnej kadry naukowej, płyną oczywiście z przebadanych po wielokroć i szczegółowo planów rozwoju gospodarczego naszego i okolicznych regionów. Na nich też oparto długofalowy, perspektywiczny plan rozwoju uczelni, obejmujący okres od 1962 do 1980 roku. Zgodnie z przewidywaniami, uzgodnionymi w odpowiednich instancjach, Politechnika ma na ten okres przywrócić 400 milionów złotych, które wykorzystane będą w pierwszym rzędzie do polepszenia warunków pracy na wydziałach istniejących, następnie zaś przy rozbudowie uczelni, wyrażającej się sporą liczbą mających powstać nowych wydziałów, katedr i specjalności. Miasto zarezerwowało również dla Politechniki teren obejmujący około 20 ha, na prawym brzegu Warty, w okolicy ulic Kórnickiej i Zamenhova.

Rozbudowa nowych bloków mieszczących zarówno sale wykładowe, jak zakłady naukowe, domy studen-

kie i bloki mieszkalne pracowników naukowych, pozwoli wreszcie uczelni skoncentrować rozproszone po całym mieście — i przez to również ogromnie niewygodne dla codziennej pracy — placówki naukowe.

Co przewiduje organizacyjny plan rozwoju poszczególnych wydziałów?

Na wydziale budowy maszyn, który w przyszłości zmieni nazwę na mechaniczny, przewidziano stworzenie czterech nowych specjalności: silników spalinowych, energetyki przemysłowej, chłodnictwa i klimatyzacji oraz automatyzacji procesów produkcyjnych przemysłu maszynowego. Przewiduje się oczywiście w związku z tym otwarcie również szeregu nowych specjalizacji i katedr, a także oddziału mechaniki precyzyjnej, który z czasem powinien przekształcić się w samodzielny wydział.

Wydział budownictwa lądowego postanowiono wyposażać w nową specjalność: technologię materiałów i elementów budowlanych ze specjalizacjami: budownictwa przemysłowego i wiejskiego. Załącznikiem przyszłego wydziału architektury ma się stać nowo otwarty oddział o tym kierunku.

Nowymi specjalnościami wydziału elektrycznego będą grzejnictwo elektryczne i trakcja elektryczna; przy tym wydziale powstanie ponadto — przeznaczony z góry na wydział — oddział automatyki i teleelektryki.

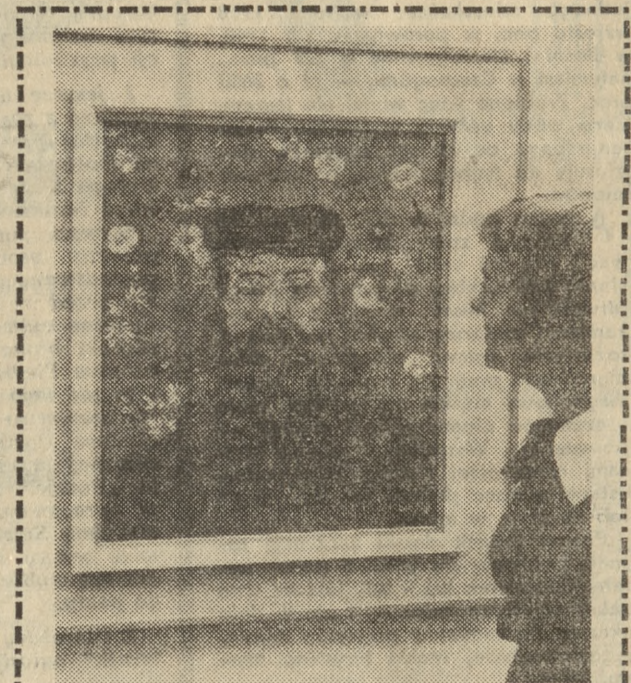
Jedyny w Polsce wydział mechanizacji rolnictwa specjalizować się będzie dodatkowo w dziedzinie maszyn, ciągników i urządzeń rolniczych.

Tyle nowości na starych wydziałach, które wróżą już narodziny nowych, a mianowicie: architektury i urbanistyki, budownictwa wodnego i sanitarnego, automatyki i teleelektryki, mechaniki precyzyjnej, fizyki technicznej oraz — najbliższy realizacji — wydział chemii. Dla tego ostatniego Politechnika już w 1965 roku miałaby pełną obsadę samodzielnych pracowników nauki. Potrzeba jego szybkiego uruchomienia znajduje swe uzasadnienie w planowanym rozwoju przemysłu chemicznego.

Plany są więc śmiałe, wymagające ogromnego wysiłku i wróżące naszej uczelni zdobycie lepszej niż do tej pory pozycji w kraju.

Na zakończenie powróćmy jednak do wstępu. Przytoczone tam cyfry najbardziej niepokoją chyba tych, którym rokrocznie wypada „jatać dziury” na odpowiedzialnych, kierowniczych stanowiskach ludźmi nie posiadającymi pełnych kwalifikacji.

W tej niepokojącej sytuacji — spodziewać się należy, że zrobione zostanie wszystko, by nie dopuścić do zagrożenia rozwojowych planów Politechniki.



Od 8 października br. czynna jest w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawa dzieł Wincentego van Gogha ze zbiorów muzeów holenderskich. Na zdjęciu: listonosz Roulin.

CAF — fot. CZARNOGÓRSKI

Feliks Fornalczyk

Ludowy arkusz zamówień książkowych

Tak się złożyło, że dopiero teraz znalazłem sposobną chwilę, aby przejrzeć uważnie udostępniony mi przez redakcję „Głosu Wielkopolskiego” plon ankietowych odpowiedzi, nadesłanych na konkurs „Głosu” i Domu Książki. Konkurs ten był ogłoszony w maju, po miesiącu rozstrzygnięty — nagrody zostały rozlosowane, odebrane i, miejmy nadzieję, przeczytane, jako że były nimi książki poznańskich pisarzy. Nie byłoby więc nawet potrzeby wracania do tego zdarzenia, gdyby nie intencje organizatorów, wyrażające się w dwu dodatkowych pytaniach, na które uczestnicy konkursu starali się dać odpowiedź zgodną ze swym, jak sądzę, szczerym przekonaniem.

Owe dwa dodatkowe pytania miały brzmienie następujące: Jakich trzech spośród pisarzy Poznania zaliczasz do swoich najulubieńszych autorów? Jakiej pragnąłbyś książki o Poznaniu i Wielkopolsce? Intencja tych pytań też była wyraźnie określona. Organizatorzy konkursu — ankietę sformułowali ją tak: „Celem konkursu jest zbliżenie Czytelników do twórczości pisarzy mieszkających i pracujących w Poznaniu, jak też zorientowanie się w upodobaniach i pragnieniach odbiorców słowa artystycznego”. Oczywiście, organizatorzy konkursu liczyli się z tym, że zasada konkursu otwartego nie przyniesie danych nazbyt zobowiązujących, może wszakże dostarczyć materiału orientacyjnego.

Redakcja otrzymała ponad 250 wypełnionych kuponów konkursowych, co nie jest liczbą dużą, ale nie jest też małą, jeśli uwzględnić charakter i dodatkowe wymagania organizatorów. Mogły one ograniczyć zasięg konkursu do osób, które swoich kontaktów z literaturą nie traktują przelotnie, ale że przynajmniej we własnym przekonaniu uchodzą za stałych czytelników, co nie jest bez znaczenia dla określenia ich zamiłowań i zapotrzebowania czytelniczych. Doceniając ten szczegół, powiedzmy zarazem jasno, że uzyskany tą drogą materiał ankietowy nie odpowiada wymogom badań socjologicznych, ponieważ nie przestrzega zasady reprezentacji żadnej z grup społecznych. Uczestniczyć przecież w konkursie mógł każdy czytelnik, odpowiedział zaś ten, kto chciał.

Układ zadań konkursowych nie zawierał zresztą jakiegos większego stopnia utrudnienia, przeciwnie, już samym doborom fragmentów utworów literackich takich a nie innych pisarzy mógł ułatwić odpowiedź na pytanie dodatkowe — a nawet sugerować nazwiska określonych

pisarzy do odpowiedzi na pytanie pierwsze: Jakich trzech pisarzy Poznania zaliczasz do swoich najulubieńszych autorów? Takich zasugerowanych nazwisk było dziesięć: Roman Brandstaetter, Przemysław Bystrzycki, Ryszard Danecki, Arkady Fiedler, Gerard Górnicki, Kazimierz Hłakowiczówna, Bogusław Kogut, Eugeniusz Pauksta, Leszek Prorok i Aleksander Rogalski.

Jakoż istotnie wszystkie te dziesięć nazwisk powtórzyło się na liście dziesięciu najulubieńszych autorów, jaka ułożyła się po podliczeniu głosów czytelników. Cóż się okazuje? Oto zdecydowaną jednomyślność sympatii ma właściwie tylko jeden autor poznański — Arkady Fiedler, drugie miejsce na tej czytelniczej liście popularnych zajmują Eugeniusz Pauksta, trzecie Kazimierz Hłakowiczówna. Dalej sympatie podzieliły. Trudno nawet mówić o niespodziankach. To wiele dających do myślenia naturalny układ, jeśli już nie wartości, to rzeczywistego znaczenia.

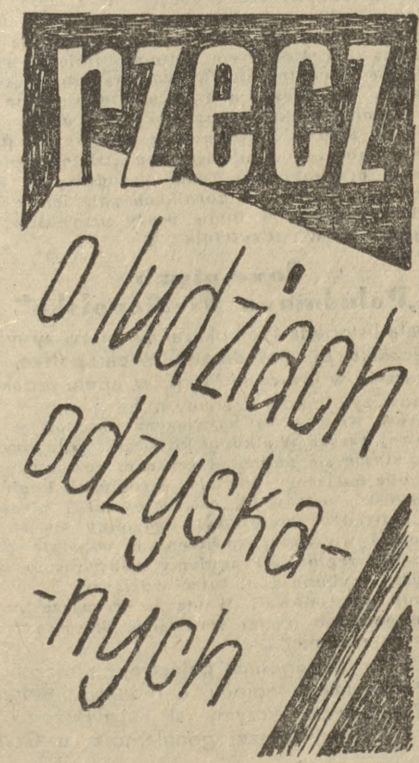
Oto dane szczegółowe: Arkady Fiedler — 233 głosy, Eugeniusz Pauksta — 136, Kazimierz Hłakowiczówna — 98, Leszek Prorok — 80, Roman Brandstaetter — 69, Bogusław Kogut — 53, Przemysław Bystrzycki — 51, Aleksander Rogalski — 24, Gerard Górnicki — 20 i Ryszard Danecki — 19. Dalsza kolejność — stosownie do liczby otrzymanych głosów — jest następująca: Jerzy Korczak, Tadeusz Kraszewski, Jerzy Kolter, Egon Naganowski, Wanda Karczewska, Józef Ratajczak, Andrzej Zeyland, Kazimierz Bieroński, Eugeniusz Morski i Stanisław Hebanowski. Pozostali literaci poznanscy uzyskali pojedyncze głosy.

Taką hierarchię literacką Poznania wyznaczył trybunał opinii publicznej, chociaż to może zbyt wielkie słowo na tę okazję, i czy to się komu podoba czy nie, nie sposób tę opinię bagatelizować. Pewnie, byłoby tu bardziej zobowiązujące przesłanki, gdyby — jak się już rzekło — była to ankietka mniej przypadkowa, odpowiadająca wymogom badań socjologicznych. Ale przecież i tak nie mamy żadnej gwarancji, czy przy zastosowaniu zasady reprezentatywności i naukowej metody zdobywania informacji uzyskalibyśmy wyniki tak bardzo różniące się od obecnych.

O wiele ciekawsze są jednakże uwagi uczestników konkursu — ankietę na temat książek, które pragnęliby przeczytać, których nie ma. I tu potrzeby czytelników są bardzo różne, prawie każdy uczestnik ankiet marzy o innej książce. Lec

Dokończenie na str. 4

Zdzisław Romanowski



Z podwójnym zaciekawieniem zabierałem się do lektury tej książki. Po pierwsze interesował mnie efekt świadomości podjęcia przez autora „Ziarna kół” tematyki naprawdę współczesnej, sięgnięcia do kompleksu dramatycznych spraw związanych z powrotem Polski nad Odrę i Bałtyk. Powtórę powieść Leszka Proroka zdołała być zaszczytną, drugą nagrodą na ogólnopolskim konkursie rozpisanym przez „Ossolineum”. Nieczęsto przecież się zdarza aby poznający twórcy osiągnęli tego rodzaju sukcesy.

Od dotychczasowego piarstwa Proroka odstąpiłem mnie to, co w uproszczeniu można by nazwać pozornością, niezamierzoną umownością prezentowanych konfliktów, ludzi, zdarzeń. Wynikało to zarówno z wtórności samego literackiego warsztatu Proroka, jak i z wyrokowania przez niego o, skomplikowanych przecież, ludzkich losach, według z góry przyjętych i dość purystycznie wówczas traktowanych założeń światopoglądowych. Warto więc zadać sobie pytanie, jakie nowe wartości wnoszą „Wyspiarze”?

Sam pomysł rozegrania akcji powieści na kilku płaszczyznach chronologicznych, a w związku z tym stworzenia szerokiej możliwości

konfrontacji postaw, ludzi, faktów — jest na pewno interesujący. „Wyspiarze” bowiem, tytuł zresztą kapitalny, odwołujący się w jakiś sposób do „Archipelagu ludzi odzyskanych” Igora Newerlego, to opowieść o losach mniejszości polskiej na dawnym Pograniczu. Trafnie wyuczył więc autor, że jedynie sięgnięcie do przeszłości — pozwoli wydobyc całą sumę niepołączalnych doświadczeń Polaków przywróconych ojczyźnie dopiero po r. 1945. Ślad duża parcia powieści poświęconą wyderzeniem sprzed wojny — latom kiedy to zawiązywał się węzeł dramatu przeżywanego przez głównego bohatera „Wyspiarzy” — Pawła Dubisza.

Tu zasadnicza prelekcja do Proroka. Paweł Dubisz, przez którego świadomość przemaluje się obraz życia wyspiarzy, który ewokuje przeszłość i teraźniejszość dziejącą się w powieści — nie wytrzyma, jako postać nalożonego nań przez autora ciężaru. Jest w gruncie rzeczy zbyt prosto skonstruowany, zbyt płaski i nijaki — aby mógł dobrze wypełnić swą rolę. Niewiele pomaga sztukowanie tej postaci — mam na myśli filozoficzne dywagacje Dubisza czy stały motyw zastępowania się chore serce.

Nie przekonuje też sposób zawiązania i rozstrzygnięcia przeżywa-

nego przez Dubisza konfliktu. Dubisz miał, trudno to inaczej wbrew zapewnieniom autora określić, romans z Niemką Elżą Amtsmann. Oboje złamali ciężary nad nimi z racji należenia do dwóch, skazanych w tamtych warunkach na walkę społeczeństw — zakaz. Ale Proroka nie interesuje tu czysto ludzki, tragiczny aspekt zdarzenia. Rozgrywa całą rzecz w kategorii wstydu i... grzechu.

— Była Niemką i kochałem ją naprawdę — szeptał penitent gorąco — tylko zabrakło mi później odwagi. To był wstyd; książę rozumie? — przed naszymi. Bardziej niż co innego paraliżował mnie wstyd, a ona zdecydowała inaczej. I gdy chciałem kiedyś wszystko wyznać matce, to myślałem, że większym grzechem jest mój lekki wstyd niż tamten czyn...”

Książka nakazuje Pawłowi: „Pojmij tę niewiaśnię za żonę, zaopiekuj się dzieckiem i daj mu chrześcijańskie wychowanie”. I dlatego scena, kiedy już po wojnie Paweł Dubisz — odwiedza Elżę, żeby odbyć z nią ostatnią rozmowę — jest zdawkowa, mało odkrywcza, jak cały zresztą wątek miłosny.

Ale „Wyspiarze”, i na szczęście to się mocno odczuwa — są efektem solidnych, terenowych studiów

autora. Natłok faktów, często niepołączalnych w swym dramatycznym ładunku, bogactwo i różnicowanie postaci z drugiego planu — wszystko to wyrównuje w pewnym stopniu wymienione poprzednio niedostatków utworu. O ile więc nie przekonywują nas koleje samego Dubisza, o tyle z niesłabnącym zainteresowaniem śledzimy losy wyspiarzy. Z tym, że bardziej odkrywcza jest parcia powieści dotycząca okresu przedwojennego i lat okupacji.

Trudno czasem, jak na ironię zdarza się że z powieści w zamyśle nowoczesnej, epatującej filozofią i głębią — najcenniejsza okazuje się warstwa bezpretensjonalnych, rzetelnych obserwacji. Prorok zbyt mało jeszcze wie o namięgłościach i siłach rządzących wewnętrznym życiem człowieka. Tej wiedzy nie zastąpi oczywiście najwymyślniejsza konstrukcja literacka, czy warsztatowa zręczność. Dlatego Paweł Dubisz powiększył galerię bohaterów martwych od urodzenia, szeleszczących papierem. Ale poraz pierwszy bodajże Prorok zawierzył swemu talentowi obserwacyjnemu, bogactwu spraw i konkretności, które przynosi życie. I dlatego „Wyspiarze” są dla mnie tą książką Proroka po którą warto sięgnąć.

*) Leszek Prorok: „Wyspiarze” — Wrocław, 1961, „Ossolineum”.

Janusz Biniek

Wrażenia naprawdę gorące

Dwa tygodnie spędzone w kraju tak ciekawym jak Jugosławia — to oczywiście za mało, by móc ze spokojnym sumieniem powiedzieć: przybyłem, zobaczyłem, poznałem. Właściwie, gdy przyjeżdża się tu w połowie września, czyli niemal w pełni sezonu, trafiając prosto z deszczu pod... dojrzwiałe pomarańcze, nad morze, w którym można kąpać się nawet w grudniu i gdzie hotele z całą powagą gwarantują każdemu bezpłatny pobyt w wypadku, gdyby przez trzy dni nie było słońca. Jest to przeskok, który śmierdzący, wychowanego na nadbałtyckich urlopach, przyprowadza o ciężki zawrót głowy.

Trudno więc dziwić się, że Jadransko More, znane ze szkolnej geografii jako Adriatyk, jest najsilniejszym magnesem. Jeżeli zmierzysz jugosłowiańskie wybrzeże na mapie, od S. Jernej na półwyspie Istria do rzeki Bojana na granicy albańskiej, okaże się, iż z lotu ptaka długość morskiej granicy wynosi niecałe 2.100 km. W rzeczywistości jednak wybrzeże jugosłowiańskie liczy aż 6280 km, gdyż należy — po norweskim — do najbardziej rozczłonkowanego w Europie; wije się linia niezmiernie nie kapryśna, pełne półwyspów i zatok.

Ale o tym miałem przekonać się za półtorej godziny, tyle bowiem trwa podróż samolotem z Belgradu do Dubrownika. Siedzę więc w kabinie Douglasa DC-3, zadowolony, że udało mi się zdobyć miejsce przy oknie, i z niecierpliwością czekam na moment startu. Obok rozkłada folder jakas turystka w zgola nieprawdopodobnych okularach słonecznych. Wreszcie samolot wzbija się w powietrze, pochyla w wiru — i oto w dole pojawia się panorama stolicy, doskonale widoczna w słońcu: luźno stojące, nowoczesne bloki mieszkalne Nowego Belgradu; najstarsza część miasta leżąca w obje-

ciach Dunaju i Sawy, z była twierdzą Kalemegdan; zielonkawo-kopuły parlamentu; wysmukły słupok hotelu „Slavija”.

Po jakimś czasie ziemia zaczyna wybrzuszać się, białe niższe dróg układają się w siatkę coraz bardziej wymyślną. „Crna Gora” — informuje stewardessa — „Montenegro”. Właścicielka nieprawdopodobnych okularów ocknęła się z drzemki i chwyciła lornetkę, choć Bogiem a prawdą gołym okiem widać o wiele lepiej. Pałzę — cóż, góry jak góry, buro-żółte, leniwie wzdęte zbocza, kudy im do urwistej, groźnej majestatu naszych Tatrz. Ale zwolna skały spiętrzają się, potężnieją, zajmu-

Gmach portu lotniczego w Belgradzie jest po paryskim Orly ponoć najnowocześniejszy w Europie. Przestrzenne wnętrza, szkło, wiele szkła, atrium z fontanną w poczekalni, klimatyzacja, samootwierające się drzwi i... odpowiednio droga restauracja.

gestszy, najchętniej skoczyłbym do wody, a tu babka, jak widzę, robi mi regularny wykład.

Wreszcie z bramy lotniska wylania się jakiś autobus. Ruszamy wąziutką szosą, przylepioną do zbocza. Zaraz zresztą przysiadamy, by wyminać najwykleszszego osiołka, który nie zwracając najmniejszej uwagi na starający obok szosy samolot, kroczy sobie leniwie jak jego przodkowie przed wiekami.

Bo też kontrasty występują tutaj w skali u nas raczej nie znanej, i to niemal w każdej dziedzinie, gospodarczej, oświatowej, etnograficznej, obyczajowej, demograficznej... Nic dziwnego: 6 republik, kilka języków i religii, kilkadziesiąt dialektów, 9 mniejszości narodowych, całe wsie a nawet większe miejscowości, gdzie mówi się np. prawie wyłącznie po węgiersku. Każda republika ma swoją własną, odmienną historię, każda lubi w jakiś sposób podkreślać swą inność. Różnica między Izr. Polską A i Polską B — to nic w porównaniu z taką dla przykładowo Słowenii i Macedonii. Toteż powojenny wysiłek Jugosławii zmierzający do zniwelowania tych kontrastów.

Dobrym przykładem jest zużycie energii elektrycznej w przeliczeniu na jednego mieszkańca: w roku 1958 wzrosło ono, w porównaniu z r. 1948, w Bośni i Hercegowinie o 327 proc., natomiast w Czarnogórze — aż o 2600 proc. Zrobiono więc wiele, ale jeszcze nieco wody upłynęło w Dunaju, zanim zaniebądane od stuleci południe doślusuje do najbogatszych, północnych rejonów.

Autobus pędzi w dół, amerykańska turystka znów zaczyna „lovelować”. Ale też każdy zakręt szosy odsłania widok, który aż prosi się, by go utrwalić na kliszy: domki z białego kamienia otoczone oliwkowymi gajami, rozłożyste agawy, pióropusze palm, nieruchoma smukłość cyprysów. Drzewa magnoliowe ciężkie od kwiatów, białe i czerwone oleandry, tu i ówdzie — pomarańcze. Wszystko to schodzi tarasami coraz niżej i niżej, by wreszcie ustąpić miejsca skalom, spadającym na łeb na szyję w morze.

Powoli jednak domki zaczynają rosnąć, pojawiają się wille, a potem hotele. Dubrownik tuż — tuż, jeszcze dwa zakręty, jeszcze jeden — i oto w dole ukazują się kamienne półwyspy miasta, jugosłowiańskiej Mekki turystów, miasta, które...

Ale o tym — osobno.

Dwa tygodnie w Jugosławii

ją cały horyzont. I tak już będzie do samego wybrzeża.

Adriatyk zjawia się nagle, jakby leżał w samym sercu gór, wprost nieprzystojnie niebieski — wielka, błyszcząca plama ultramaryny. Moja sąsiadka, jak się okazuje amerykańska turystka, wzdycha swoje „lovely!”, a samolot płynie sobie spokojnie dalej, jakby zamierzał lądować w wodzie. Dopiero później zatacza łagodny łuk i osiada na lotnisku, niewielkiej płycie płaskowyżu. I znów upał chwyla za gardło.

Czekając na autobus popijam świetny, zimny sok i nie rozumiem tego zupełnie: jakim cudem, przy takim upale, wszędzie, nawet w najmniejszych knajpkach, mają tu tyle lodu?

Amerykanka oznajmia, że wraca z Grecji, tam upały jeszcze większe, a potem zaczyna opowiadać o cudach Akropolu. Rozumiem z tego piąte przez dziesiąte, w dodatku upał coraz

dość obszerne listy, podają propozycje tytułów, określają sposób ujęcia, stopień trudności lektury, a nawet wypowiadają się co do sposobu wydania i ceny książki.

Pozwól sobie nieco obszerniej omówić owe wyrażone w odpowiedziach na ankietę życzenia czytelników, ponieważ wydaje mi się, iż jest to niezwykle cenny materiał o znaczeniu nie tylko kulturowym — może on być pomocny nie tylko dla pisarza i wydawcy, lecz również dla badacza społeczeństwa i polityka. Ale o tym za tydzień.

Feliks Fornalczyk

Ludowy arkusz zamówień książkowych

Dokończenie ze str. 3

mimo to pewne gatunki literackie czy też pewne dziedziny tematów znajdują spore grupy zwolenników. Układają się one na zasadzie przeciwności, a więc tematyka historyczna i współczesna, prace naukowe i popularno-naukowe i utwory literackie, dzieła faktograficzne i tworzone przez wyobraźnię artysty.

Uczestnicy konkursu-ankiety nie tylko określają tematy, podają interesujące ich okres, lecz często występują z najzupełniej określonymi koncepcjami opracowań, dołączają



Lenin mniej znany

Większość tygodników zamieszcza obszerne artykuły, felietony i reportaże poświęcone Związki Radzieckiemu i rocznicy Rewolucji Październikowej. Szczególną uwagę zwraca szkic Jerzego Tepichta pt. „Lenin mniej znany”, opublikowany w „Polityce”. Są to refleksje, które nasunęły się autorowi po lekturze nieznanego, bo nie wchodzących w normalne wydanie dzieł Lenina, dokumentów. Są to rozważania o „leninowskich normach życia partyjnego” i „leninowskich normach kierownictwa”.

„Zwróćmy uwagę przy czytaniu niniejszego zbioru — pisze J. Tepicht — jak często Lenin domaga się rady i to wielu różnych towarzyszy. Jak czuje się głęboko dotknięty treścią listu działacza, który otóżamił KC z jego osobą. „Mylicie się powtarzając (kilkakrotnie), że „KC — to ja”. Coś takiego można napisać tylko w stanie wielkiego zdenerwowania i przemęczenia. Stary KC (1919—1920) przekonał mnie w jednej z kardynalnie ważnych spraw, o czym wiecie z dyskusji. W kwestiach organizacyjnych i personalnych — niezliczone mnóstwo razy pozostawałem w mniejszości. Widzieliście to sami wielokrotnie, gdy byliście członkiem KC”.

Oto jedna z próbek leninowskich norm życia partyjnego wyjęta z obszernego i bardzo interesującego artykułu.

W Krakowie — o poznańskim teatrze

Jan Paweł Gawlik opublikował na łamach krakowskiego „Życia Literackiego” artykuł pt. „Dwie „Opery”, poświęcone sztuce B. Brechta pt. „Opera

za trzy grosze” wystawianej obecnie w Bydgoszczy i Poznaniu. Oba przedstawienia cieszą się dużą frekwencją, chociaż:

„Bydgoska Opera” — na przykład — natrafiła na dość chłodne przyjęcie. Stało się to w mieście, w pewnym sensie nieobliczalnym, oczekującym od teatru najłatwiejszej rozrywki (...). Bydgoska scena zapisała na swoim koncie kolejny sukces, zaś do tradycji scenicznej przybyła nowa realizacja. Nie gorzej — jeśli nie lepiej — powiodło się w Poznaniu Janowi Perzowi przede wszystkim — w zdobywaniu widza (...). Perz rozegrał w Poznaniu wielkiego zła, dawno nie widziałem podobnie wypchanej sali, dawno nie uczestniczyłem w równie ścisłym kontakcie widowni i sceny. Orkiestra siedzi w jednej z łóż, publiczność gniecie się niemal na własnych kolanach, obiegając balkony jak plaster miodu i w tej gęstej od oczekiwań atmosferze wyzwała się nagle poprzez melodię i dźwięk — prawdą teatru”.

Cieszymy się szczerze tak pochlebną opinią o poznańskim Teatrze Polskim. Życzyc też wypada — jak najwięcej tak dobrze wystawionych sztuk.

Dramatyczna lekcja

...to tytuł artykułu Gustawa Goffesmana zamieszczonego w „Przeglądzie Kulturalnym”. Autor pisze o ostatnich wydarzeniach związanych z Kubą.

„W momentach szczególnego napięcia w stosunkach międzynarodowych i zagrożenia pokoju wymaga się od przywódców wyjątkowej rozwagi, umiaru i rozsądku (...) Działalność premiera Chrząstowskiego w minionym tygodniu skoncentrowała się na takich celach (mowa o niedopuszczeniu do pogorszenia się konfliktu — dop. red.). Pokoju inicjatywa premiera Chrząstowskiego przyniosła rezultaty. Wymiana korespondencji między premierem Chrząstowskim i prezydentem Kennedym, stworzyła platformę porozumienia, która może nie tylko zlikwidować groźbę wybuchu wojny w rejonie karaibskim, lecz otworzyć drogę porozumienia w szerszych i bardziej zasadniczych sprawach”.

Chociaż w kryzysie kubańskim dokonał się pomysłny zwrot, na zakończenie tego kryzysu przyjdzie jeszcze poczekać. Wówczas dopiero nastąpi

Eugeniusz Pauksta

Z nowych tłumaczeń

Wśród nowych przyswojeń z rosyjskiego uwagę zwraca zwłaszcza powieść Wadima Kozłownikowa „Taki jest Bałujew” (Wydanie PIW-u), głosząca z rozlicznych dyskusji i polemik w radzieckich pismach. Autor podjął raz jeszcze próbę stworzenia bohatera pozytywnego dni radzieckich. Znajduje go w Bałujewie, energicznym kierowniku przedsiębiorstwa pracującego w trudnych warunkach terenowych. Bałujew jest dobrym psychologiem, świetnym organizatorem, co sprawia, iż osiąga rzeczy bardzo trudne. Ale jednak pozostaje w tej postaci coś szablonowego, jest zbyt mało żywa. Nielatwy jest ten bohater pozytywny naszych dni... Ta pewna sztuczność w postaci głównego bohatera nie przesłania jednak wartości poznawczych i artystycznych utworu. Bardziej serdeczna, przekonywająca, choć pisana z mniejszymi ambicjami, jest książka Georgij Gulii „Kasztanowy dom” („Książka i Wiedza”), przybrana w formę pamiętnika młodej nauczycielki, Natalii, podejmującej pracę w odległej wiosce Abchazji. Sceneria dzikiej przyrody, nieznanne środowisko abchaskich gór, bardzo ludzkie konflikty, nadająca powieści wielki walor autentyczności.

„Czytelnik” wydał ciekawy tom opowiadań współczesnych Izraela-Mettera — „Spotkanie”, w przekładzie Leona Susida. Autor świetnie podpatruje różnorodność środowiska ludzkiego, w sugestywnie autentyczny sposób ukazując potem poprzez spięcia dramatyczne swoich opowiadań. Utwory te odznaczają się przy tym dużymi walorami konstrukcji psychologicznych.

I jeszcze dwie pozycje przyswojone z rosyjskiego. PIW opublikował pierwszą część opartej na motywach autobiograficznych trylogii Konstantego Fiedina, pisarza bardzo u nas popularnego. „Pierwsze porwy”, to ukazanie przez osobiste wspomnienia pogmatwanego okresu życia Rosji przed rewolucją 1905 roku. Świetne sylwetki, nuta zadumy, głęboki humanizm, te cechy piśarstwa Fiedina występują także i w tej jego powieści. To samo wydawnictwo w celofanowej „Bibliotece Poetów”, tak rozchwytywanej przez zbieraczy, ogłosiło „Poezje” Borysa Pasternaka w opracowaniu i z doskonałym wstępem Severyna Pollaka. Tak więc mamy nareszcie naprawdę szeroki wybór utworów wybitnego poety.

Z literatury anglosaskiej „Czytelnik” ogłosił „Dwie wieże” J.

R. R. Tolkiena, zdobywającego u nas coraz większą popularność swym światem fantazji, wywodzącej się z połączenia erudycji naukowej z wyobraźniowym klimatem swoistej baśni. Liryczność tego utworu, jego humorystyczność, w połączeniu z żywą akcją tworzą z „Dwu wież” naprawdę przeuroczą lekturę, do której serdecznie zachęcam.

W PIW-ie ukazało się wznowienie bardzo poszukiwanej powieści wybitnego pisarza amerykańskiego Roberta Penna Warrena „Gubernator”, odważnie atakującej drażliwe problemy życia współczesnej Ameryki, zwłaszcza zza kulis wielkiej polityki. Dobrze też się stało, że PIW w ramach „Biblioteki Powszechnej” wydał tom opowiadań Ernesta Hemingwaya „Rzeka dwóch serc”, choć zarazem należy wyrazić

z książką na ty

żal, że nie znajdujemy w tym wyborze ani jednego nowego opowiadania poza znanymi nam już z poprzednio publikowanych tomów. W nieprzyjemny sposób mylące czytelnika staje się nadawanie nowych tytułów znanym już wyborom.

Spośród paru pozycji literatury francuskiej należy na plan pierwszy wysunąć maleńką powieść Marguerite Duras „O wpol do jedenastej wieczór, latem” („Czytelnik”), mistrzowską w swej formie, będącą doskonałym, nowoczesnym studium psychologicznym. Sceneria hiszpańskiej nocy i dziennego upału, dziwny spłot losów ludzkich, jeszcze niedawno obcych sobie i obojętnych, jakaś zachłanność przeżyć — to tylko kilka z cech tego przejmującego swą odkrywczością utworu. W scenerii hiszpańskiej rozgrywa się też ponura, posępna wizja „Gitary” Michela del Castillo („Książka i Wiedza”), książka ki urzekającej pięknem, siłą wymowy ukazanej problemu: człowieka wyrzuconego bez własnej winy poza obręb zbiorowości. Pesymizm utworu jest jednak pozorny, zło, ciemnota rodzą się w określonych sytuacjach społecznych. Sytuacje zaś można zmienić. Smutna jest ta opowieść o niezawinionym cierpieniu, ale szlachetnie zarazem piękna.

I jeszcze jedna pozycja francuska, zupełnie inna już w typie. To „Podniebny balet” André Sui-re’a („Nasza Księgarnia”), opowieść wyczerpująco skoczka spadochronowego, pełna pogody, rozkochania w żywiole powietrza, będąca po trosze i historią spadochroniarstwa i wykładem o jego technice, w sumie bardzo frapująca. Polecam ją zwłaszcza starszej młodzieży.

ostatyczne zamknięcie dramatycznych wydarzeń, znajdujących się stale w centrum zainteresowania opinii światowej.

Dziecko „Żubra” i „Skody”

Na łamach „Życia Gospodarczego” zwraca uwagę artykuł reportaż Zbigniewa Wyczesanego pt. Ojciec — „Żubr”, Matka — „Skoda”. Autor pisze o właściwie pojętej współpracy i kooperacji na przykładzie bralnych zakładów motoryzacyjnych: czeskich — w Mnichovie Hradiste i Wysokim Mycie oraz polskiego — Jelczańskich Zakładów Samochodowych.

„Dzięki uprzejmości Polsce licencji na produkcję autobusów „Karosa”, Jelczańskie Zakłady Samochodowe wyprodukują w ciągu obecnej pięcioletniej 5 tys. sztuk, w znacznym stopniu zaspokajając potrzeby krajowe. Po przekazaniu nam dokumentacji na autobus międzymiastowy przysłała obecnie kolej na autobus miejski. W chwili podpisania umowy w sprawie zakupu licencji o tym typie autobusu nie było ani słowa. Rozszerzenie współpracy w przemyśle motoryzacyjnym wpłynęło niewątpliwie na fakt, że wkrótce podejmujemy i tę produkcję, Zakłady „Karosa” w Wysokim Mycie przekazały już dokumentację na ten autobus do Polski i czekają obecnie na przyjazd polskich robotników na praktykę”.

Czy współpraca i kooperacja obejmą również jakiś wspólny typ słuszkowo niedrogiemu malolitrażowego samochodu osobowego? Trudno przewidzieć, chociaż entuzjaści motoryzacji na pewno cieszyliby się z takiego obrotu sprawy.

Puścizna pośmiertna L. Kruczkowskiego

Mowa Kultura zamieściła pierwszą część materiałów z puścizny pośmiertnej Leona Kruczkowskiego.

„Z materiałów porządkowanych i przygotowanych z największą pieczołowitością przez Wdowę tow. Jadwigę Kruczkowską — czytamy w redakcyjnym wstępie — można już odczytać kilka głów-

nych kierunków myśli twórczej Pisarza w ostatnim okresie, którego owocem były sztuki „Pierwszy dzień wolności” i „Śmierć gubernatora”. A więc przede wszystkim zapowiadana już w wydawnictwie „Świat” („Czytelnik”) Dalej również pomyślana Jeszcze w obozie jenieckim powieść „Gepruft Oflag II D”, pisana urywkami na przełomie lat 1957—58 (...). Wreszcie, podjęty w r. 1956, cykl opowiadań wkraczających bezpośrednio w tematykę współczesną (...). Z cyklem tym łączy się problematyka i czasokresem dramatem umiejscowiony w rodzinie rewolucjonistów Wolborskich, niestety, przerwany na początku I aktu. Odnalezione zostały również niektóre przedwojenne utwory Pisarza, jak sztuka „Rozmowa z ojczyzną” (tekst będzie drukowany w miesięczniku „Dialog”, przedstawienie przygotowuje Teatr Narodowy w Warszawie), oraz powieść o górnikach polskich w Belgii (ukazuje się ona w tomie próz przygotowywanym przez S. W. „Czytelnik”).

Nowe pismo „Południowa Wielkopolska”

Z datą listopada 1962 ukazał się pierwszy numer miesięcznika pt. Południowa Wielkopolska, wychodzącego w Ostrowie Wlkp. W apelu redakcyjnym do Czytelników czytamy między innymi: „Ostrów więc — to największy ośrodek w południowej części Wielkopolski — jest siedzibą redakcji, stając się poniekąd centrum rozległego regionu, obejmującego powiaty: jarociński, kępniński, krotoszyński, ostrowski, ostreszowski i pleszewski (...) Droży Czytelniku! Będziemy się starali obejmować uważnym spojrzeniem wszelkie przejawy życia regionu. Pragniemy, żeby pismo stało się Waszą trybuną (...), toteż wdzięcznym sercem będziemy przyjmowali Wasze interesujące materiały o godnych uwagi sprawach dziejących się w naszym regionie”.

Pismo to szczególnie polecamy mieszkańcom zainteresowanego regionu, a redakcji Południowej Wielkopolski życzymy jak największego nakładu i jak największej popularności u Czytelników.

LEKTOR